

# Niełatwy optymizm

»Wujaszek Wania«  
na scenie Teatru Współczesnego



ANTONI CZECHOW

„Wujaszka Wanię” z takim zakończeniem, jakiego życzyłby sobie dzisiejszy inscenizator Czechowa... Tak się jednak składa, że język sztuki różni się nieco od języka politycznego i sądzą, że nie można mieć pretensji do Czechowa za to, że wujaszek Wania rozczarowawszy się do całego swojego zmarnowanego życia w końcu rozbeczał się... Szczeciński teatr chce pokazać, że był to płacz „oczyszczający” – niech i tak będzie; kto wie, co się w tej „ruskiej duszy” wujaszka Wani wówczas działo...

Czechow wszedł do literatury rosyjskiej, jako autor pogodnych opowiadań. Według świadectwa jego rówieśników zarówno on sam, jego pogodne usposobienie jak i jego początkowa twórczość tworzyli rażący kontrast do otaczającego go środowiska – tragicznego pokolenia ludzi, gorąco pragnących naprawienia zła społecznego, ale zupełnie sparaliżowanych niemocą jakiegokolwiek działania. Według tego samego świadectwa Czechow z okresu „Wujaszka Wani” był już innym człowiekiem. I jego w końcu dosięgła wszechogarniająca z мора apatii i razem ze zdrowiem wyszła z niego radość życia. To co w nim pozostało, to głęboka wiara w lepszą przyszłość – ale była to wiara zaprawiona gorzką świadomością tego, że „już wtedy nas nie będzie”...

Czy szczecińskiemu teatrowi udało się wydobyć choć trochę tego, co od biedy można by nazwać optymizmem? Zdaje mi się, że niewielka zmiana interpretacyjna finału – gdzie zamiast ronić łzy, wujaszek stuka liczydłami, co ma oznaczać, że otrząsł się z marazmu – niewiele chyba wpłynęła na zmianę nastroju całości.

Sztuki i postacie Czechowa, jak wiadomo, nie należą do łatwych. To co jest ich istotą, jest bardzo subtelnie ukryte tak, jak ukryte są zazwyczaj prawdziwe uczucia, pod maską niewiele mówiących słów. Stąd wynika u Czechowa potrzeba – w stopniu większym niż u każdego innego autora – właściwego doboru aktorów. W szczecińskim teatrze panuje, zdaje się, przekonanie, że każdy aktor może i powinien zagrać każdą rolę, przekonanie podyktowane prawdopodobnie trudnościami personalnymi; ale obawiam się, aby z tej konieczności nie zrobiono cnoty; mimo najlepszej woli, nie mogę na przykład dojrzeć w Pietruskim Astrowa, a w Remiszewskiej Heleny. Ścisłej mówiąc, w jednym, jak i w drugim wypadku widzę tylko połowę osobowości: w Pietruskim – tylko Astrowa przystojnego, sympatycznego, nieco dziwaczного, „napliewatelskiego”, a w Remiszewskiej – Helenę, tylko tę znużoną i znużoną swoją sytuacją życiową plęknisnę. A przecież Astrow miał oprócz tego też ideały, czegoś pragnął, może nie wierzył, że to się szybko ziści, ale jednak pragnął i ta druga połowa Astrowa wypadła u Pietruskiego nieprzekonywająco.

Helena u Czechowa jest nie tylko znużona życiem, ale i z tego też powodu cierpi, a jako kobieta piękna, choć nie pierwszej młodości i przy tym wcale nie głupia, cierpi zapewne niemało – czego jednak u Remiszewskiej nie widać. Odnosi się wrażenie, że rację ma Astrow mówiąc do niej, że wcześniej czy później „w Charkowie, czy w Kursku”, podda się ona swoim uczuciom. Ale w takim razie jej opór wobec zabiegów Astrowa staje się niezrozumiały i scenicznie nielogiczny; wykonawcy nasi szukając głębin społecznej treści, znaleźli pływającą zwykłej pruderji kobiecej.

Już bardziej pełną postacią jest sam wujaszek Wania Rajmunda Fleszara, a jakby stworzeni do swoich ról są Daszewski, jako profesor Sierlebrjakow i Ordyńska, jako niania. Najbardziej, a właściwie jedynym „rosyjskim” typem tej całej rodziny jest Kazimierz Iwor, jako zubożały właściciel ziemski, co wskazuje na to, że wykonawcom nie bardzo zależało na podkreśleniu miejsca akcji; zarówno wewnątrz, jak i charakterystyka postaci jest tak jakoś „ogólnie” dziewiętnastowieczna, że gdyby nie ich słowa, nie bardzo byłoby wiadomo, gdzie rzecz się odbywa. Niezależnie od tego trzeba przyznać, że dekoracje Jerzego Szeskiego „same dla siebie” są bardzo ładne. Miłą, ale trochę, naszym zdaniem za bardzo młodą była Sonia Traczykówny (w tych latach taka Sonia była już dojrzałą kobietą, a nie podlotkiem), a już zupełnie bez zarzutu matką – Kalinowska.

To, że zespół włożył w „Wujaszka Wanię” dużo wysiłku jest niewątpliwe. Zarówno dla Marii Straszewskiej jak i dla niektórych aktorów sztuka ta oznacza pewien postęp, ale nie można oprzeć się wrażeniu, że jest w teatrze coś, co hamuje jego rozwój. Zdaje mi się, że jest nim brak pełnej kolektywności pracy. Osiągnięcia i porażki poszczególnych reżyserów są jakoś zbyt „indywidualne”, a postawa kierownictwa artystycznego ma pewne cechy „splendid isolation”... A jest to chyba i niepotrzebne i niesłuszne, biorąc pod uwagę wielką odpowiedzialność jaką teatr w CAŁOŚCI ponosi przed naszą młodą widownią.